

Śnieg pada na chińską ziemię

Jeśli ziarno pszenicy, wpadłszy w ziemię,
nie obumrze, zostanie samo jedno,
ale jeśli obumrze, przynosi plon obfity.

Ai Qing, *Śmierć Nazarejczyka*, 1933,
cytat z Ewangelii św. Jana, 12, 24

W Małej Syberii ojciec opowiadał niekiedy o czasie spędzonym w Paryżu, zwłaszcza w długą, mroźną zimę, kiedy w spizarnce nie mieliśmy nic poza kartoflami i cebulą. Paryż był dla mnie jak inny, nieprawdopodobny świat.

Za to w lecie fasolka szparagowa i ogórki zwieszały się z okratowania, nie brakowało też marchwi, rumianych pomidorów, brzuchatych tykw. Owoce i warzywa hodowane przez członków pięciu czarnych kategorii były nie dość że ładne, to jeszcze pyszne. Te świeże płody rolne nasycaly kolorami nasze ponure życie i wraz z innymi dziećmi skwapliwie dołączaliśmy do zbiorów.

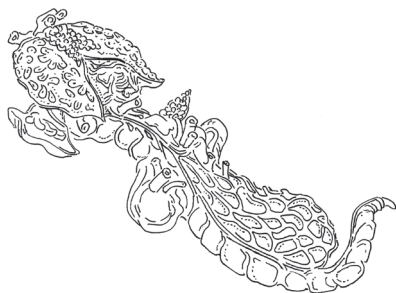
Piaszczysta gleba i pustynny klimat sprzyjały też uprawie arbuzów, którymi hodowca dzielił się z nami, dziećmi, rozpoławiając każdy owoc nie nożem, a mocnym uderzeniem. Potem z towarzyszkami zabaw zanurzaliśmy ręce w różowawym miąższu, nabieraliśmy go w dłonie i połykaliśmy łąpczywie. Patrząc, jak się objadamy, hodowca upominał nas, żebyśmy wypluwali pestki: miały z nich wyrosnąć owoce na przyszłoroczną ucztę.

Kompania była właścicielem jakichś czterystu owiec, ale ani razu nie podano nam baraniny. Z wyjątkiem wiosny, pory strzyżenia, nie wolno nam było ich nawet tknąć, a mięso przechodziło na własność państwa. Ale oto pewnego dnia owcom udało się przedostać jakoś na pole obsiane lucerną dla poprawy

jakości gleby, w ramach płodozmianu. Nie sposób ich było stamtąd wypędzić – gdy udawało się odciągnąć jedną, inna natychmiast przybiegała chyżo i wracała do skubania delikatnych listków. Pasterz, niemowa, załamywał ręce, roztrzęsiony. Owce obżerały się tak długo, aż padały jak kłody na ziemię z rozdętymi brzuchami. Kiedy zaszło słońce, zaczęły umierać, jedna za drugą, w męczarniach, z poszarzałym wzrokiem. W panującej wtedy atmosferze paranoi wypadek ten urósł do rangi śmiertelnie poważnego incydentu politycznego.

Cała sytuacja miała dla nas jedną dobrą stronę: za sumę zaledwie dwóch mao zdobyłem serce, wątrobę, płuca, jelita, żołądek i głowę owcy, które, ciśnięte bezceremonialnie do mojego wiaderka, utworzyły parującą, śmierdzącą mieszankę. Wymyłem podroby, najpierw wywracając jelita na drugą stronę i wyrzucając zawartość – a była tego zdumiewająca ilość – i wypłukałem je do czysta. Następnie namoczyłem je w osolonej wodzie, wyszorowałem, aż przestały śmierdzieć, i wreszcie wrzuciłem do wrzątku. Płuca umyłem, nalewając wody przez tchawicę i poklepując płaty, aż napuchły tak, jakby miały wybuchnąć; wtedy zaczęły wyciekać z nich mętny płyn. Powtarzałem to do momentu, aż woda zrobiła się przejrzysta. Najbardziej utkwiała mi w pamięci rzadko goszcząca na twarzy ojca radość, kiedy przyniosłem na stół ugotowane wnętrzności wraz z dorodnym łbem owcy na talerzu.

Posiłki potrafiły rozbudzić entuzjazm taty nawet w najbardziej ponure dni. Nosił w sobie szczęśliwe wspomnienia przysmaków z dzieciństwa, ale pożywienie zdobyte w więzieniu czy na wygnaniu miało zawsze kwaśny posmak upokorzenia.



W Paryżu, w cukierni nieopodal pensjonatu ojca sprzedawano rodzaj brioszki z kremem budyniowym, zwaną *chinois*. Ojciec zrywał się, że „chińskim” nazywano ciastko, którego nigdy nie jadł w Chinach, i wpadał w irytację, słysząc przy śniadaniu, jak klienci wołają: „Proszę mi dać parę *chinois*!”. Pewnego razu, gdy rozmawiał ze znajomym, ktoś krzyknął pod jego adresem: „*Chinois*, chińszczyzna to nie tutaj. We Francji mówi się po francusku!”. Innym razem, kiedy malował w plenerze na obrzeżach miasta, jakiś podchmielony Francuz podszedł do niego chwiejnie, rzucił okiem na płótno i wybełkotał szyderczo: „Ej, *Chinois*! U siebie macie bajzel, a ty tu sobie malujesz w najlepsze!”. Niby niewinna drwina skondensowała w sobie upokorzenia, jakich ojciec doznał w tym obcym kraju, i ogarnęło go nagle, nieodparte pragnienie powrotu do domu.

Sytuacja polityczna w Chinach uległa zmianie, gdy ojciec przebywał za granicą. Chińscy komuniści wzniesli szereg rebelii przeciwko nacjonalistycznemu rządowi, przejmując tymczasowo kontrolę nad różnymi terenami na południu Chin. Podczas Wielkiego Kryzysu po krachu giełdowym w 1929 roku liczba bezrobotnych w Japonii sięgnęła dwóch i pół miliona, a militarystyczny rząd japoński upatrywał szansy na ratunek dla gospodarki w bogactwach naturalnych północno-wschodniej części Chin.

Do 18 września 1931 roku japońskie wojska zajęły miasto Shenyang, dawną stolicę Mandżurii, a w kolejnych miesiącach podporządkowały sobie wszystkie trzy północno-wschodnie prowincje Chin. Wraz z pogorszeniem się stosunków między Chinami i Japonią francuski rząd, któremu zależało na ochronie własnych interesów w Chinach i Indochinach, przyjął bierną postawę wobec japońskiej agresji. Kiedy 28 stycznia 1932 roku japońskie oddziały desantowe przypuściły atak na chiński garnizon w Szanghaju, ojciec dotarł do Marsylii i wsiadł na parowiec, który zabrał go z powrotem do Chin.

Tamte trzy lata w Paryżu ojciec wspominał później jako najlepsze w swoim życiu – już nigdy nie zazna takiej swobody i odpoczynku. Chłopak z wygwizdowa, malujący pejzaże nad Jeziorem Zachodnim, stał się młodym mężczyzną, niezależnie

myślącym i pewnym siebie. Intelktualna strawa oraz idee, których zakosztował we Francji, będą go zasilać w czekających go burzliwych latach.

Dziadek musiał gorzko się rozczarować, gdy ojciec wrócił do Fantianjiangu w 1932 roku bez dyplomu ani żadnego innego świadectwa osiągnięć w ręku. Inni krewni przyglądali mu się z zaciekawieniem, nie bardzo wiedząc, co myśleć. Większość czasu ojciec spędzał w domu rodziców, markotnie przeglądając książki na regałach. Niekiedy zabawiał młodsze rodzeństwo opowieściami o życiu we Francji albo dla zabicia czasu wycinał z tektury pionki do gry w go i uczył dzieciaki jej zasad. Wieś wydawała mu się teraz nieruchomym stawem – cokolwiek działo się na świecie, nie wzbudzało choćby zmarszczki na jego tafli. Dom stał mu się obcy jak nigdy przedtem.

W maju 1932 roku ojciec znów wyjechał do Szanghaju. W pierwszych dekadach XX wieku Wielka Brytania, Francja i inne państwa założyły tam swoje koncesje, a wraz z koncesjami pojawiły się zachodnie banki, gazety i uniwersytety prowadzone przez misjonarzy, a także inne atrybuty współczesnej cywilizacji: tory wyścigowe, kina, samochody, latarnie uliczne, domy towarowe, remizy strażackie i toalety ze spluczką, nie wspominając o barach, dansingach, klubach nocnych, a nawet konkursach piękności. Szanghaj był wtedy najszybciej rozwijającym się miastem w Azji Wschodniej i ze swoimi niezliczonymi uczelniami, księgarniami i wydawnictwami przyciągał młodych ludzi takich jak mój ojciec.

W Szanghaju ojciec zaprzyjaźnił się z Jiang Fengiem, swoim rówieśnikiem z robotniczej rodziny, chłopakiem niewielkiej postury, za to o silnym, nieustępliwym charakterze. Feng był typem introwertyka o artystycznym zacięciu, brał udział w rozmaitych akcjach związkowych i wykonywał drzeworyty przedstawiające strajkujących robotników.

Ojciec zamieszkał z innymi młodymi artystami na osiedlu Fengyuli pod numerem 4, w gwarnej komunie w małym piętrowym budynku przy Rue Chapsal (obecnie ul. Danshui). Dzięki Jiang Fengowi wstąpił do Ligi Artystów Lewicowych, a wkrótce potem utworzył wraz z innymi Klub Malarski

Wiosenna Ziemia, którego zadaniem było organizować działalność ligi. W manifestie klubu ojciec napisał między innymi: „Podobnie jak inne formy kultury, sztuka wzrasta i ewoluuje wraz z duchem epoki, dlatego sztuka współczesna musi nieuchronnie podążać nowymi drogami i służyć nowemu społeczeństwu. Musi stale iść do przodu, wypełniając swoją funkcję edukowania i organizowania mas”. Ojciec zaczynał odnajdywać się w czynie rewolucyjnym, który wartości kultury upatrywał w poszukiwaniu wizualnych form wyrazu dla teorii i ideologii.

Dwunastego lipca 1932 roku w Klubie Malarskim odbywała się lekcja esperanto – sztucznego języka popularnego wówczas w postępowych kręgach – gdy na miejscu pojawili się nagle śledczy z policji Koncesji Francuskiej. Ojciec siedział na starej, wysłużonej kanapie. Jeden z policjantów zwrócił się do niego sztywną francuszczyzną:

– Jest pan komunistą?

– Co to znaczy „komunista”? – odparł ojciec niewinnie. Nie należał wtedy do partii, ale (o czym nie wiedział) mnóstwo jego przyjaciół było jej członkami.

– Strata czasu, zostaw go! – warknął nadkomisarz. Następnie zamasztywym gestem otworzył drewniany kufer i wyjął plakat z Czang Kaj-szekiem, chińskim przywódcą, rozciągniętym na ziemi w służalczej pozie i liżącym parę oficerek mających symbolizować japoński imperializm.

– Co to ma być? – zapytał.

– Protest przeciwko imperializmowi! – odpowiedział ojciec po francusku. – Francja chyba na to pozwala? Czy Henri Barbusse i Romain Rolland nie sprzeciwiali się imperializmowi?

Na innym plakacie widniał tłum robotników opuszczających fabrykę na znak protestu z czerwonymi flagami w rękach.

– A to co w takim razie? – wykrzyknął nadkomisarz z triumfem i zdzielił ojca po twarzy. On, Jiang Feng i dziesięciu innych zostali aresztowani. W lokum ojca skonfiskowano *Dzieła wszystkie* Lenina, egzemplarze francuskiego dziennika komunistycznego „L'Humanité” i kilka książek przywiezionych z Francji.



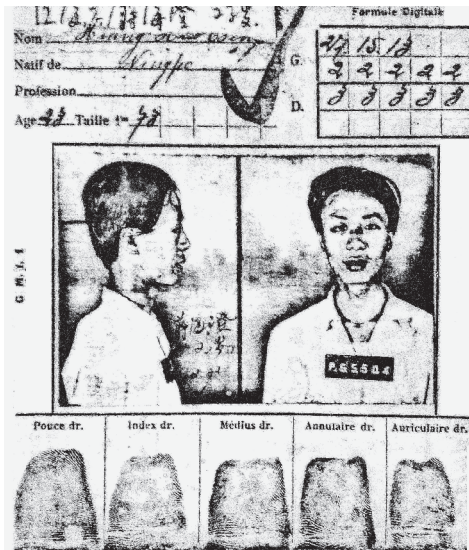
Proces, 1936. Drzeworyt Jiang Fenga przedstawiający Ai Qinga przed sądem

Za rzekome „zakłócanie spokoju publicznego działaniami Partii Komunistycznej”, stanowiące pogwałcenie chińskiego prawa, postawiono ojca przed sądem prowincji Jiangu. Akt oskarżenia był gotowy jeszcze tego samego dnia. Materiał dowodowy składał się z rzeczy z pokoju ojca oraz dokumentów Ligi Artystów Lewicowych w tym jej konstytucji, listy członków oraz protokołów z posiedzeń, jak również plakatów i ulotek. Sąd ustalił, że Klub Malarski Wiosenna Ziemia był organem Ligi Artystów Lewicowych działającym „na szkodę republiki” – mglisty zarzut, trochę jak polityczna zbrodnia „nawoływania do obalenia władzy państwowej”, o którą miałem zostać oskarżony w następnym stuleciu.

Na sali sądowej leciwy sędzia przewodniczący siedział pośrodku, między dwoma innymi sędziami. Ojciec, zapytany, czy jest „jednym z przywódców Partii Komunistycznej”, zaprzeczył. Na pytanie o zawód odparł: „Rysownik”. Przewodniczący nie bardzo wiedział, co to miałyby oznaczać, i patrzył pytająco na kolegów, równie skołowanych.

Trzy dni po aresztowaniu ojca moja ciotka Jiang Xihua wyruszyła śpiesznie z Szanghaju do Jinhua, prosić dziadka o pieniądze na adwokata. Zanim wróciła, sprawa była już jednak na finiszu, a sędzia sposobił się do ogłoszenia wyroku.

Gdy ojciec usłyszał, że skazują go na sześć lat więzienia, nie mógł powstrzymać śmiechu. Nigdy nie przeszło mu przez myśl, że może spędzić najbliższe lata za kratkami. Otrzymał najsurowszy wyrok spośród aresztowanych razem z nim, może ze względu na swoją buńczuczną postawę.



Z kartoteki więziennej Ai Qinga

Więzienie w szanghajskiej Drugiej Strefie, przy rue Massenet pod numerem 285, było znane po prostu jako więzienie Massenet. Odsiadywało tam wyroki około trzech tysięcy penitencjariuszy, w tym wielu działaczy politycznych. Ojciec dzielił celę z dwudziestoma innymi więźniami. W nocy tylko połowa z nich mieściła się na wspólnej pryczy, a reszta spała na betonowej podłodze. Kubel z nieczystościami opróżniano raz na dzień, więc w celi śmierdziało moczem i kałem. Niedługo zmoęła ojca wysoka gorączka i zdiagnozowano u niego gruźlicę. Przeniesiono go do „izby chorych” na kwarantannę, ale zapasy leków były na wyczerpaniu i jego stan nadal się pogarszał. Na szczęście Li Youranowi – który wrócił z Francji – udało się przemycić do więzienia lekarstwa i łapówką nakłonić więziennego lekarza do podleczenia ojca.

Nocą 14 stycznia 1933 roku sypał gęsty śnieg, a ojciec usiadł pod zakratowanym oknem i rozmyślał o swojej rodzinnej wiosce. Przypomnił sobie Wielkolistną Lotos, która obdarzyła go ciepłem i miłością. Dręczony bezsennością, napisał długi, niewymownie tkliwy poemat w potocznej chińszczyźnie. Wspominał w nim swoją mamkę i inne wiejskie kobiety bez grosza przy duszy, które wiodły równie trudny żywot; czuł się zjednoczony z nimi w cierpieniu. (Ponieważ rzadko słyszał imię swojej opiekunki i nigdy nie widział jego zapisu, w wierszu oddał je jako „Dayanhe” i dopiero później doszedł do tego, że prawidłowy zapis to „Dayehe”). Pierwszym czytelnikiem poematu był skuty kajdanami kolega z celi z wyrokiem śmierci. Odczytał go na głos wers po wersie swoim melodyjnym dialektem z Suzhou i wzruszył się do łez.